

Janusz Sławiński

Trzeba grać w nowej sztuce

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 1, 146-153

1990

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Trzeba grać w nowej sztuce

Rozmowa z Januszem Sławińskim

Redakcja: *A więc „Teksty” odżywają! Po ośmiu latach nieistnienia znowu mają się ukazywać; miejmy nadzieję, że nic im nie przeszkodzi. Można było spodziewać się, że przyjmie Pan tę odmianę losu z zadowoleniem i czynnie włączy się w dzieło reanimacji „Tekstów”. Tymczasem nie chciał Pan zostać powtórnie redaktorem naczelnym pisma i, co więcej, w ogóle odmówił Pan uczestniczenia w jego redagowaniu. Dla wielu było to zaskakujące i niezrozumiałe...*

Janusz Sławiński: Cieszę się oczywiście, że „Teksty” zyskały znowu możliwość istnienia, jednakże rzeczywiście nie przyjąłem tego jako wezwania do mnie adresowanego. W biegu minionych ośmiu lat zdołałem na dobre przywyknąć do nie-istnienia „Tekstów” i do siebie jako ich nie-redaktora. Wciągnęły mnie nowe sprawy i wraz z upływem czasu przysłoniły dawne przywiązanie. Wskrzeszać teraz to przywiązanie wyłączenie z obowiązku, niejako na siłę, i jeszcze w dodatku bez możliwości bezkolizyjnego pogodzenia z innymi zaangażowaniami — byłoby doprawdy czymś niewłaściwym. A przy tym rzecz może najważniejsza: ja w ogóle nie wyobrażam sobie, jak te nowe „Teksty” miałyby wyglądać. Nie mam na nie żadnego pomysłu, a to znaczy, że nie kwalifikuję się na redaktora.

R.: *Nie chcemy być złośliwi, ale podejrzewamy, że takimi wyjaśnieniami maskuje Pan prawdziwe powody swego zaniechania. Mówiąc wprost: nie wierzy Pan, by w obecnej sytuacji krachu finansowego wydawnictw naukowych „Teksty” miały szansę ukazywania się — i nie chce Pan*

angażować się w przedsięwzięcie skazane na niepowodzenie. Czy taki domysł krzywdzi Pana?

J.S.: Gdyby był trafny, wcale by mnie nie krzywdził, gdyż stwierdzałby, że mam skłonność do postępowania racjonalnego. Rzeczywiście nie ma teraz sprzyjającej koniunktury dla inicjatyw tego rodzaju, co Wasza. Jesteśmy świadkami katastrofalnego załamania się całej dziedziny publikacji naukowych, zarówno książkowych jak czasopiśmienniczych. Nie wszystkie przyczyny tego załamania są dla mnie jasne, ale jego objawy stają się widoczne nawet dla niezbyt spostrzegawczego obserwatora. Jest bardziej niż prawdopodobne, że garnitur dotąd wydawanych periodyków będzie musiał ulec drastycznemu pomniejszeniu. Na zdrowy rozum zabieganie w takich okolicznościach o pieniądze na nowe pismo może się wydawać marnowaniem czasu. Ale – po pierwsze – „Teksty” nie są pismem nowym; po wtóre – spotkała je w przeszłości krzywda, która teraz domaga się wyrównania; po trzecie wreszcie – powstrzymując się od działania na rzecz ich reanimacji w ogóle nie sposób się dowiedzieć, czy jest ona możliwa. Tak że wcale nie uważam, aby obecnie nie miały sensu starania o „Teksty”; przeciwnie: jestem zdania, że odpowiednio energiczna krzątania może doprowadzić – wbrew nieprzychylnym warunkom – do pożądanego celu. Ale cała ta krzątania musi być jednak odniesiona do jakiejś koncepcji tego, ku czemu się zmierza. Nie warto wszak zabiegać o to, by móc co pewien czas wydawać zbiór zadrukowanych kartek... Trzeba z góry wyobrazić sobie sytuację socjopsychologiczną i duchową, jaką pragnęłoby się nowym pismem wytworzyć. Jakiego rodzaju aspiracje środowiskowe powinno ono zaspokajać? Komu się podobać, a kogo metodycznie irytować? Jaką problematykę preferować? Jak miałyby się plasować pośród języków współczesnej humanistyki?

Mówiąc przedtem, że brak mi pomysłu na nowe „Teksty”, miałem na myśli to, że nie potrafię sobie odpowiedzieć na tego typu pytania. A jest ich wiele.

R.: *Nie bardzo rozumiemy samą potrzebę takiego nowego „pomysłu”. Czy nie wystarczy po prostu odbudować dawne „Teksty” i robić je dalej wedle sprawdzonej receptury?*

J.S.: To bym zapewne jeszcze potrafił. Tylko po co? Powielać stare sztuczki, gdy małe są szanse, by mogły kogokolwiek zaciekawić – byłoby smętnym nieporozumieniem. Stawać się epigonem samego siebie – to chyba najgorszy gatunek epigonizmu; prawdziwe nieszczęście. Nie chciałbym w nie popaść, co zrozumiałe.

Jeśli wolno mi ostrzec Was przed czymkolwiek, to ostrzegalbym właśnie przed próbami bezkrytycznego nawiązywania do poetyki dawnych

„Tekstów”. Dzisiejsze „Teksty” muszą się od tamtych różnić — tak samo wyraźnie jak czas obecny różni się od lat siedemdziesiątych. Dlatego wydawało mi się właściwe, aby te dzisiejsze zaczęli redagować ludzie młodszy od tych, którzy robili ‘o przedtem, mniej odczuwający ciężenie dawnej formy pisma, a za to bardziej wrażliwi na nowe gusta i oczekiwania publiczności. Ci starsi, gdyby nawet bardzo się starali podążać za duchem czasu, po prostu nie byłiby w stanie uwolnić swoich poczynań od wytestowanej już (przez siebie) poetyki „Tekstów”; tak czy inaczej w niej ostatecznie znajdowaliby najpewniejsze oparcie. Trudno się temu dziwić: któż potrafi oddalić się od czegoś, co mu przyniosło sukces?

Z moją opinią, że wskazana jest teraz w „Tekstach” pokoleniowa zmiana warty zgodzili się bez większych wahań — Błoński i Treugutt; z pewnymi oporami uznał trafność takiej diagnozy — Hernas; inne było zdanie Balcerzana, który postanowił pozostać w służbie. Nowy redaktor naczelny, Ryszard Nycz, nie wydaje się zresztą zbytnio przejęty ideą pokoleniowej jednorodności zespołu, czego mu nie mam za złe...

R.: *Twierdzi Pan zatem — o ile dobrze rozumiemy — że dawna poetyka „Tekstów” musiałaby być dziś odbierana jako przeżytek. Co w niej aż tak silnie wiąże się z czasem minionym, że poza jego granicami okazuje się — Pańskim zdaniem — już teraz zagrożona anachronicznością?*

J.S.: „Teksty” od samego początku swego istnienia — co godzi się przypomnieć — były nadzwyczaj uważnie obserwowane przez najprzeróżniejsze organa nadzoru politycznego. Nie idzie tylko o ową jednostajną i mdłą kontrolę partyjno-cenzorską, jakiej podlegały wszystkie czasopisma humanistyczne wówczas wychodzące, ale także — i przede wszystkim — o ekstraordinaryjne, ponadnormatywne niejako, odmiany nadzorowania naszych poczynań: przez różne egzekutywy, biura, komisje, sekretariaty, wydziały — w Instytucie, w Akademii, w KC. Wielu funkcjonariuszy w to się angażowało, piętrząc górę zarzutów, ostrzeżeń, pouczeń, obłudnych wyrazów troski — kierowanych pod naszym adresem. Na tym tle rutynowe działania cenzury mogły wydawać się jeszcze czymś w miarę znośnym, bo przynajmniej przewidywalnym. Ale i one przynosiły nam wystarczająco dużo kłopotów i strat. Wśród rozmaitych przyczyn tej wzmożonej nieufności była z pewnością i ta, że na „Teksty” rozciągała się automatycznie wrogość pomarcowego aparatu partyjnego — w Akademii i poza nią — do środowiska iblowskiego jako całości. „Teksty” stały się w pewnym momencie najbardziej wystawioną na widok publiczny częścią tego środowiska — wobec tego na niej skoncentrował się strumień niezyczliwości. Ale tym nie da się zbyt wiele wytłumaczyć, bo i w IBL-u też

nie wszyscy nas kochali... Byliśmy ustawicznie o coś podejrzewani; z różnych stron dawano nam do zrozumienia, że lista naszych grzechów i wykroczeń jest wystarczająco długa, abyśmy się poważnie liczyli z możliwością rychłej likwidacji pisma. Jeśli wyłączyć miesięce Solidarności, to naszej pracy towarzyszyła nieustannie atmosfera zagrożenia: nigdy nie wiedzieliśmy, czy wydany właśnie zeszyt „Tekstów” nie będzie ostatnim. Dlaczego to pismo tak drażniło organa nadzoru? Przecież nie zajmowało się tematyką polityczną (ani nawet politologiczną), miało charakter elitarny (najwyższy nakład: 2 tys. egzemplarzy), było wydawane pod skrzydłami PAN, a więc instytucji serwilistycznie wspierającej władzę, przechodziło przez cenzurę, która je gorliwie obstrugiwała z opinii niesłusznych i z wiadomości niepożądanych. Trudno przepuścić, żeby zaniepokojenie i gniew nadzorców mogły wywoływać dociekania teoretycznoliterackie, interpretacje pisarstwa Gombrowicza, eseje z historii sztuki czy rozstrząsania filozoficzno-lingwistyczne. Myślę, że tę nieustającą irytację wzbudzało na ogół nie to, o czym „Teksty” traktowały, lecz przede wszystkim sposób, w jaki włączały się w uniwersum mowy publicznej.

W systemie kontrolowanej mowy publicznej dopuszczalne są jedynie takie wypowiedzi, które zostały instytucjonalnie uprawomocnione. Masz prawo wypowiadać się dopiero wtedy, gdy zostało ci ono przyznane przez instytucję cieszącą się zaufaniem aparatu kontroli, którą będziesz – jako mówiący – reprezentować. Mówisz w imieniu Specjalności Naukowej, Urzędu, Polityki Kulturalnej, Literatury (upaństwowionej) – i to nadaje wagę twojej wypowiedzi. Otóż w taki ład mowy publicznej „Teksty” wprowadzały element rozgardiaszu. Dawały one bowiem szansę (pod skrzydłami Instytutu, Akademii, Komitetu Naukowego!) mówieniu min instytucjonalnie nieuprawomocnionemu; były zarazem naukowe i literackie, publicystyczne i filozoficzne, poetyckie i scjentystyczne, poważne, ale z lekką domieszką błazeństwa... Dopuszczały do głosu podmiot, za którym nikt-nie-stoi, wypowiadający się z miejsca instytucjonalnie nieokreślonego, wymykający się kategoryzacji, które by umożliwiały efektywną kontrolę jego mowy.

Język pozbawiony instytucjonalnych przyporządkowań i gwarancji – to był w istocie główny kłopot, jaki „Teksty” sprawiały aparatowi nadzoru. Język taki, nawet bezwzględnie cenzurowany, wciąż wydawał się jakby nie do końca oceniany; rodził u nadzorców poczucie, że coś w nim przeoczyli, że jakichś zuchwalstw w porę nie dostrzegli i należycie nie skarcili. Podejrzewali, że umożliwiał przemycanie niebezpiecznych wieloznaczności czy rebelianckich treści – i jakkolwiek nieuchwytny

pozostawał charakter owych domniemanych przesłań, należało im na wszelki wypadek dawać przykładowy „odpór”.

Opinia, że „Teksty” znajdują się na granicy niedopuszczalności i że w związku z tym narażone są na utrudnienia i szykany — dawała temu pismu dobre uwiarygodnienie środowiskowe. Ceniono tu nas za „niezależność” — i to tym bardziej, im gorzej byliśmy traktowani przez policję słowa publicznego. W sposób naturalny ciążyli ku „Tekstom” ludzie młodszy o orientacji „dysydenckiej”. To jednakowoż z kolei dodatkowo podbudowało, wzmacniało i uzasadniało podejrzliwość, z jaką odnosili się do nas zwierzchnicy i kontrolerzy.

Mówię tu o bardzo ważnym składniku poetyki „Tekstów”, wręcz konstytutywnym. To przecież w dużej mierze owej umiejętności balansowania w wąskim przesmyku między dopuszczalnością a niedopuszczalnością zawdzięczały one znaczenie i renomę. Ale właśnie ten istotny składnik miał charakter w najwyższym stopniu relatywny. Wraz z rozsypaniem się partyjnego systemu zawiadywania mową publiczną, cenzury i innych organów cenzuropolodnych, cała finezyjna strategia językowa „Tekstów”, z jej chytrymi zuchwalstwami, przewrotnościami, tematami zastępczymi i aluzyjnością, traci automatycznie dawną energię komunikacyjną, funkcjonalność, w ogóle — sens. Dziś stała się już nie do użycia.

To była zaledwie połowa odpowiedzi na pytanie Państwa. Kilkoma jeszcze zdaniemiasygnalizuję — jeśli wolno — jej drugą połowę.

W czasie, gdy pojawiły się „Teksty”, na początku lat 70-tych, literaturoznawstwo akademickie znajdowało się pod dominacją paradygmatu strukturalistyczno-semiotycznego. To on wyznaczał wtedy idee kierunkowe tej dyscypliny, preferowane metodyki dociekań i kryteria oceny osiągnięć badawczych. Pisanie teoretyczno- czy krytycznoliterackie nie odsyłające do owego paradygmatu wydawało się archaicznym gładzeniem, świadectwem prowincjonalizmu i zacofania. Strukturalizm stał się na pewien czas łaciną współczesnej humanistyki — językiem o zasięgu uniwersalnym, który był wszędzie używany: tak samo w Paryżu, jak w Dorpacie czy w Otrębusach. Ale jego powszechność miała, rzecz prosta, i drugą stronę: instrumentarium strukturalistyczne ulegało za jej sprawą przyspieszonemu zużyciu, następowała schematyzacja pojęć i procedur interpretacyjnych; uporczywe powtarzanie tych samych konceptów, chwytów i kombinacji terminologicznych wprowadzało do języka strukturalno-semiotycznego — przewidywalność, a więc nudę.

Wydaje się, że ta ambiwalencja zwycięskiego języka została przez „Teksty” trafnie rozpoznana już na samym początku ich istnienia. Staraliśmy się

oddać mu sprawiedliwość, pokazać, w jakiej mierze ukształtował dzisiejsze myślenie o tekstach kultury, przede wszystkim zaś: uprzytamniać jego poznawczą produktywność i różnorodność możliwych zastosowań. Nie ulega jednak kwestii, że to przeświadczenie było równocześnie nieco ironiczne, zaprawione kpiną z komunałów i manieryzmów semiologicznych, podsyte intencją parodystyczną. W dyskursie „Tekstów” tkwił element pewnej zgrywy, pozwalający budować dystans krytycyzmu wobec języka badawczego stanowiącego skądinąd ich najbliższe tło. Towarzyszyło temu wyostrzone zainteresowanie ideami i koncepcjami, które pozostawały w opozycji do strukturalizmu. Psychoanaliza, hermeneutyka Heideggerowska, Derrida, Bachtin, teoria recepcji – to przykłady owych dróg alternatywnych, którymi poruszały się „Teksty”, żadnej z nich zresztą nie dochowując wierności. W dobie triumfującego strukturalizmu upowszechniały one mieszankę idei wielce charakterystyczną dla czasu, który nazwany został – z braku lepszego miana – poststrukturalizmem. Rezerwa wobec języka aktualnie dominującego, próby jego obejścia czy zakwestionowania – łatwo zresztą ulegały generalizacji: i właściwie okazywało się, że na nieufność zasługują wszelkie paradygmaty teoretyczne w humanistyce, a nie wyłącznie ten najbliższy. „Teksty” bez wątpienia wykazywały pewną skłonność do anarchizmu metodologicznego, nie-radykalnego wszakże; sympatyzowały z rozwiązaniami eklektycznymi, zalecały, by próbować wszystkiego, co się da, za niczym jednak zdecydowanie się nie opowiadając.

Chyba się nie mylę twierdząc, że ta niedefinitywność opcji była jednym z istotniejszych źródeł powodzenia „Tekstów”. Sympatię budził u odbiorców unoszący się nad tym pismem duch wątpienia, antydoktrynerstwa, przekory, relatywizmu. Nie miejmy jednak złudzeń: chodziło o sympatię koniunkturalną. Zarówno nasze anarchizujące poczynania, jak i sympatia do nich, były w ogóle możliwe tylko o tyle, o ile w ich tle znajdował się w miarę solidny paradygmat dyscypliny – jej system orientacyjny, któremu zawdzięczała chwilowy porządek wśród swoich zadań i narzędzi poznawczych. To on negatywnie motywował rewizjonistyczne zamieszanie; bez niego nie miałyby żadnej racji bytu.

Dziś sytuacja wygląda zgoła odmiennie. Nie będę jej charakteryzował, gdyż noszę się z zamiarem napisania o niej artykułiku do „Tekstów Drugich” – i wolałbym uniknąć powtórzeń. Uważam, że w ciągu kilkunastu ostatnich lat dyscyplina nasza utraciła jakąkolwiek Formę i kierunek dążeń; przypomina dziś bezładne złomowisko, na którym wala ją się resztki jej dawniejszych instrumentariów. Osiągnęła bezgraniczny

pluralizm — i bezprzykładną jałowość. Jakże teraz, wzorem dawnych „Tekstów”, bawić się w rozmontowywanie paradygmatów, gdy najdotkliwszym problemem jest właśnie brak miarodajnego paradygmatu? Doniosłym zadaniem stało się obecnie poszukiwanie systemu orientacyjnego, a nie dalsze pomnażanie liberalizmu pojęciowego i swobód interpretacyjnych.

Zniknęły zatem z pola widzenia dwa istotne wyznaczniki stylu dawnych „Tekstów”. W wyniku tego stracił on swoje uprzednie umocowania i nie ma — moim zdaniem — żadnych widoków na jego pomyślnie praktykowanie w odmiennej scenerii życia publicznego i umysłowego. Musicie — jako redaktorzy — spróbować zagrać w jakiejś nowej, nieznaney jeszcze, sztuce; poprzednia już zeszyła z afisza i znalazła się we władaniu czasu przeszłego dokonanego.

R.: *Czy sądzi Pan, że gdyby nie było tej nieszczęsnej ośmioletniej wyrwy w historii „Tekstów”, dawna redakcja równie ostro by teraz dostrzegła potrzebę zagrania w „nowej sztuce”?*

J.S.: Tego nie jestem pewny. Można przypuścić, że w wyniku stopniowej ewolucji poglądów i gustów, która przecież była nieuchronna, znaleźlibyśmy się gdzieś w pobliżu takiego uświadomienia. Ale jest równie prawdopodobne, że usiłowalibyśmy uparcie pielęgnować dawną formę „Tekstów” nie całkiem zdając sobie sprawę z jej rosnącej anachroniczności.

R.: *Dlaczego właściwie pismo to tak bezwzględnie potraktowano w stanie wojennym i później? Chyba jako jedyne z czasopism wydawanych przez PAN nie zostało ono w swoim czasie „odwieszono”, co praktycznie oznaczało jego likwidację.*

J.S.: W tym wieloletnim utrzymywaniu stanu zawieszenia, istotnie tożsamym z likwidacją pisma, kryła się dziwaczna zawziętość, nie zupełnie dla mnie zrozumiała. I właściwie — czyja? Nie sądzę, aby działała tu indywidualna wola jakiegoś konkretnego wroga „Tekstów”, który postanowił czynić wszystko, żeby je bezapelacyjnie uśmiercić. Ową zawziętość należy raczej przypisać wielogłowemu potworowi, zlepienemu z biurokratów, partyjniaków, profesorów, policjantów, sekretarzy, prezesów, realistów, kwadratogłowych myślicieli, który zawiadywał Akademią, nauką, wydawnictwami naukowymi...

R.: *Zdycha on na naszych oczach.*

J.S.: Ale jakże przewlekłe to zdychanie — zwłaszcza w Akademii.

R.: *O ile wiadomo, środowisko naukowliterackie występowało przy różnych okazjach do władz PAN z apelami o reaktywowanie „Tekstów”. Nie były one jednak przez adresata brane w rachubę.*

J.S.: Z takimi apelami występowała Rada Naukowa IBL, dyrekcja Instytutu, Komitet Nauk o Literaturze. Sam miałem do tych usiłowań stosunek ambiwalentny. Z jednej strony wydawało mi się, że muszą być podjęte, bo tego wymaga honor środowiska i poczucie odpowiedzialności. Jednakże w miarę upływu czasu coraz bardziej obawiałem się, że apele te wreszcie poskutkują i „Teksty” zostaną wznowione. A one nie powinny zostać wtedy wznowione! Pozostawanie w wymuszonej nieczynności przynosiło nam – redakcji – zaszczyt; był to widomy znak wyróżnienia, na które nie każdy potrafił zasłużyć. Gdyby natomiast pismo reaktywowano: czy wyobrażacie sobie, co by to oznaczało? Kooperację z dyrektorem-politrukiem, Witoldem Nawrockim; liczenie się z ocenami groteskowej rady naukowej, którą powołano, aby ukarać społeczność IBL; podleganie tchórzliwym i bezwarunkowo posłusznym partii, policji i wojsku, zwierzchnikom z biur i sekretariatów Akademii; wysłuchiwanie opinii różnych sezonowych zarządów nauki i kultury; oddawanie tego, co pragnęlibyśmy publikować, na pastwę cenzury – w warunkach, gdy wydawnictwa drugiego obiegu stwarzały coraz większe możliwości słowu nie-cenzurowanemu. Już na samą myśl o tym wszystkim dostawałem mdłości. Uważam, że obrót, jaki ostatecznie przybrała sprawa „Tekstów” był najpomyślniejszy z możliwych. Nikt z redaktorów – ktokolwiek by do nich należał – nie musiał opaskudzić się w imię niby wyższych wartości. Sytuacja pozostała moralnie przejrzysta, co pozwala dziś bez niesmaku zaczynać grę na nowo.

R.: *Dziękujemy Panu za rozmowę.*

Rozmowa odbyła się 15 marca 1990.